Nr. 65.

# Dodatek do „Gazety Narodowej"

z dnia 5. Marca 1899.

## DO SAHARY!

### XXIX.

Oaza Biskra w lutym.

Dzisiejszy dzień rozpoczął się źle. W nocy skąsały mnie moskity, że wyglądam jak nieboskie stworzenie, zapomniałem bowiem zachwycając się arabskim wieczorem zamknąć okna — a nad rankiem zerwał się straszliwy huragan, tak że cała pustynia skryła się w chmurach piasku i kurzu. Arabi pochowali się do swych namiotów i lepianek a wielbłądy zbiły się w jedną masę, w której głowy nie dojrzy — i szczęśliwe, że mają niespodziewany dzień wypoczynku przeżuwają w błogim spokoju spasione wczoraj kolce

Chciałem się zabawić w Farysa i przeforsować huragan, ale próba wypadła wcale niepocześnie. W kilku minutach miałem pełne oczy, nos i usta gryzącego piasku, więc przekonawszy się, że poza ostatnie palmy nie można głowy wytknąć, postanowiłem poświęcić dzień cały zwiedzeniu oazy.

A jest co zwiedzać. Biskra, to największa oaza w całej Saharze. Dzięki potokowi tej samej nazwy, który prawie nigdy nie wysycha i licznym wywierconym studniom ma dość wody, ażeby dać życie przeszło 160.000 palm daktylowych. Jest to więc wielka zielona wyspa w tej niezmiernej pustyni, szkoda tylko, że w części o europejskim wyglądzie, gdyż tutaj ostatni posterunek cywilizacyi europejskiej, ostatnia większa straż zbrojnej siły francuskiej i ostatnie hotele.

Tak jest — hotele europejskie, wygodne, obszerne, lecz niestety puste. Gdy bowiem przed kilku laty skonstatowano w świecie lekarskim, że powietrze pustyni działa zabijająco na rozwój gruźlicy, przedsiębiorczy ludzi rzucili się do budowania hoteli sądząc, że wszyscy suchotnicy ze świata tu się zjadą, tymczasem stało się inaczej. Chorzy boją się tak dalekiej podróży, pozostali więc angielscy „globe trotters", którzy muszą być wszędzie, a którzy właśnie tego roku z powodu możliwej wojny pomiędzy Francyą a Anglią omijają francuskie posiadłości.

Jestem więc z swoim towarzyszem prawie samotny we wielkim hotelu i z dumą konstatuję, co to wszystko dla mnie się nie dzieje. Dla mnie pieką i smażą, dla mnie nakrywają stoły i dzwonią wielkim dzwonem do śniadania i obiadu, dla mnie wieczorem wymyślają rozmaite afrykańskie rozrywki, o których jednak później.

Na razie wychodzę z Arabem oglądać oazę. Europejska część tuż obok hotelów nie nęci mię wcale. Kilkadziesiąt domów z krytemi arkadami od ulicy, młody park z palm, drzew gumowych, kassis, itd. ratusz w stylu maurytańskim, parę sklepów — ot i wszystko.

Trudno powiedzieć, żeby to miało wygląd europejski, bo gdzie palma gwałtem wyrasta na każdym śmietniku, gdzie biedna trafikantka sprzedając mi cygara płacze, że straciła męża na febrę i że sama latem ginie z dziećmi z gorąca, dochodzącego do 40° w cieniu — tam nie można mówić o Europie — ale zawsze to nie Afryka prawdziwa.

Jedynie tylko posiadłość hr. Landona, widocznie jakiegoś bardzo zamożnego i pełnego fantazyi człowieka ma bardzo egzotyczny widok. Jest to pałac maurytański w parku. Co tam wszystko w tym parku rośnie i buja, to przechodzi moje wiadomości botaniczne. Łatwo sobie wyobrazić, że na kawałku ziemi afrykańskiej, ziemi dobrze zroszonej znakomitem nawodnieniem, pod słońcem saharskiem wszystko wyrośnie, co się tylko posadzi — jest tu więc i flora Jawy i Ceylonu, Kuby i Bóg wie jaka jeszcze. Hrabiego prawie tu nigdy nie ma i tylko tablica u wstępu zakazująca dawanie napitku dozorcom i pozwalająca Europejczykom przebywać w parku, jak długo się im tylko podoba, świadczą o gościnności i uprzejmości gospodarza.

Kilka kiści dojrzałych daktyli na palmach, owiniętych liśćmi i obwiązanych szpagatem, są zapowiedzią, że hrabia przybędzie tu na parę dni. Lubi on bowiem mieć na deser swe własne świeże daktyle, więc każe je ochraniać przed szkodnikami, między którymi — niktby nie uwierzył — rej wodzą wróble. Śmiać mi się chce, gdy widzę jak te chamy ptasiego rodu zajadają daktyle — tak jak gdyby były istotami daktylożarnemi i nigdy w swem życiu nie parpały w zimie na północy od Karpat w nawozie końskim.

Chodząc wśród tej zielonej gęstwiny, zapomina się zupełnie, że puszcza tak blisko. Widząc te sploty lianów wśród palm i bambusów, te zachwycające egzotyczne kwiecia, świecące blaskiem kolorów tęczy, te prześliczne arankasy, odbijające tak pięknie swym miarowym kształtem od fantastycznego chaosu gałęzi i wiecznie zielonych liści innych drzew, ma się zupełnie wrażenie dziewiczego lasu pod równikiem, w którym ręka ludzka nic nie działa. Dopiero kiedy się przedrzemy przez gąszcze i staniemy na granicy parku, przekonywujemy się, że to tylko zielona wyspa w puszczy, tuż bowiem za ogrodem rozpoczynają się puste szutrowiska i bezbrzeżne piaski i głazy Sahary.

Obok parku rozpoczyna się saharska droga na południe. Mijamy samotnie w puszczy stojące dwa ładne gmachy, hotelu Royal i kasyna, które otoczone wieńcem palm daktylowych, stanowią ostatnie dwa zbytkowne budynki europejskie, co po za tem — to Afryka bez przymieszki europejskiej, to oaza saharska, taka, jaką sobie wyobraża każdy wykształcony człowiek, który jeszcze nie widział pustyni, lecz dopiero słyszał i czytał o niej

A jednak nie taka! Stokroć ładniejsza stokroć więcej zajmująca. Stoję i patrzę, lecz czuję, że tego wrażenia nie oddam, będą puste słowa i nic więcej. Zdaje mi się, że bujam w powietrzu, pomiędzy tymi zielonymi pióropuszami przecudnych liści palmowych zbitych w jedną ruchliwą gęstwinę, pragnąłbym głaskać i pieścić te śliczne warkocze zwieszone na dół, te kształtne wiotkie pnie uginające się pod każdym powiewem wiatru. Już to nie ulega wątpliwości, iż drzewa mają w swej istocie i swym wyglądzie coś ludzkiego. Jeżeli dąb przedstawia nam męża pełnego hartu i silnego charakteru, jeżeli brzoza płacząca jest symbolem wspomnianej Nioby, jodła łagodnej Traji, to palma jest dziewicą pełną wdzięku i niewinnej zalotności. A jest takich dziewic spory wieniec przedemną. Wszak las daktylowy oazy Biskry obejmuje przeszło 160,000 drzew, i ciągnie się kilometrami, więc wyobraź sobie czytelniku, co to za widok! A co za rozmaitość w ugrupowaniu drzew! Jeżeli las sosnowy nuży jednostajnością swego wyglądu, to o lesie palmowym tego powiedzieć nie można.

Stoję godzinami na jednem miejscu i dziwię się tej rozmaitości obrazów otaczających mnie. Zdawałoby się, że jedna palma taka sama jak druga, więc wszędzie taki sam widok, a przecież tak nie jest. Swego towarzysza i marszałka mej wyprawy — amatora fotografa męczę aż do znudzenia, wyszukując mu do zdjęcia coraz to inne, coraz to ładniejsze grupy palmowe.

Te palmy, to jak gwiazdy na niebie, niby rozrzucone bezładnie, a w tak świetne łączą się obrazy. Tu tworzą świątynię lub skromną kapliczkę, tam altankę lub zielony baldachim, ówdzie prawdziwy pensyonat, gdzie starsze dziewice młode prowadzą podlotki. Tuż obok tworzą straszną gęstwinę — zda się, że w jej wnętrzu czyhają lwy i pantery, tam stanęły w szeregu jakgdyby za chwilę skoczny miały rozpocząć taniec.

A ponad tą cudną zielenią jeszcze cudniejszy szafir niebios i najcudniejsze słońce afrykańskie, pełne blasku i żaru! A wpośród tego przejrzyste powietrze pustyni, niby krystyształ rozpuszczony, który niczego nie zasłania a wszystko powiększa. Z jakąś roz koszą wdarłbym się do wnętrza takiego lasu, jak słodko spoczywałbym u stóp takiej palmy-dziewicy, pojąc się jej miłosnym szeptem, jej, rozkosznym oddechem!.

Lecz niestety!... Wnętrze lasu palmowego nie jest takie, jak je sobie wyobrażamy. Nie ma tam zielonego kobierca darni mchów, nie ma kwiecia, ale same rowy i doły, pełne namułu i mętnej wody. O bo palma musi ciągle nóżki moczyć, jej zawsze potrzeba słońca i wody.

*Dr. Emil Habdank Dunikowski.*

---

## Elektryczna lokomotywa.

Od kilku lat robione są już próby, aby siłę pary na kolejach żelaznych zastąpić siłą elektryczną. Do ujemnych stron lokomotyw parowych należy dym z kominów, który jest plagą dla zamieszkałych w pobliżu toru kolejowego, a szczególnie daje się we znaki w wielkich miastach, wśród których liczne pociągi na przestrzeni kilku kilometrów ustawicznie przemykają. Potrafiono wprawdzie po części temu złemu zapobiedz przez zastosowanie w parowych lokomotywach aparatów, które pochłaniają dym częściowo jednak całkiem dodatniego rezultatu dotychczas nie osiągnięto. Tego rodzaju przyrządy są też obecnie w praktycznem użyciu na nowej kolei miejskiej we Wiedniu. Coraz nowe wynalazki, dążące do zbudowania udoskonalonej lokomotywy elektrycznej dla ruchu na kolejach żelaznych wstrzymują dalsze udoskonalenie i rozpowszechnienie bezdymnych lokomotyw.

Od roku robione próby z elektryczną lokomotywą Heilmana, na linii kolejowej pod Lyonem we Francyi, są zupełnie zadawalające. Lokomotywa elektryczna ma oryginalny zewnętrzny wygląd.

Przyłączony do niej wóz ciężarowy naładowany jest akumulatorami. Lokomotywa toczy się na trzech parach kół, pierwsza para kół służy wyłącznie do dźwigania, dwie drugie pary kół są dźwignią połączone i wprawiają w ruch maszynę. Cała lokomotywa podobna do dużej skrzyni, która podzielona jest na pięć oddziałów, a wspólna podstawa tychże wznosi się 30 centimetrów nad osiami kół; pierwszy oddział jest 1 metr wysoki, aby nie zasłaniał maszyniście toru kolejowego i zawiera ścieśnione powietrze, które w miejsce pary służy do gwizdania, dla ostrzegania przed zbliżającym się pociągiem. W następnym oddziele znajdują się przyrządy mechaniczne do kierowania lokomotywą a trzy ostatnie oddziały łączą ośmnaście elementów akumulatorowych. Akumulatory sporządzone są z celuloidu. Aby osięgnąć szybkość jazdy pociągów pośpiesznych, należy jeszcze włączyć 192 elementów w akumulatorach, które są pomieszczone w wozie ciężarowym, przyłączonym do lokomotywy. Ciężar lokomotywy i wozu ciężarowego z akumulatorami wynosi 90.300 kilogramów. Praktyczne próby dały następujący rezultat: największy ciężar, jaki nowa elektryczna lokomotywa systemu Heilmanna przy szybkości 45 kilometrów w godzinie przebywała, wynosił 147 ton (tona 1.000 klgr.). Przy włączeniu siły elektrycznej akumulatorów w wozie ciężarowym osiągnięto z łatwością szybkość 100 kilometrów w godzinie.

Widzimy zatem, że szybkość ta wystarcza zupełnie, bo na stałym lądzie większa szybkość w jeździe pociągów nie jest w użyciu, a nawet niedozwolona, wskutek tego, że budowa torów kolei żelaznych na taką szybkość jazdy nie była obliczona. Ujemną stroną elektrycznej lokomotywy jest wielki ciężar akumulatorów.

Naturalnie, że próbne te jazdy przy użyciu elektrycznej lokomotywy zwracają ogólną uwagę, a sprawozdania o próbach stanowią materyał studyów dla inżynierów, którzy rozwiązaniem kwestyi użycia siły elektrycznej dla ruchu komunikacyjnego się zajmują. Zdaje się, że w niedługim czasie parowa lokomotywa, wynalazek Stephensona, będzie musiała ustąpić miejsca swej elektycznej rywalce.

Zbliżający się dwudziesty wiek przedstawiać będzie w każdym razie całkiem odmienny obraz w ruchu komunikacyjnym. Ogólne, coraz większe żądanie, ile możności najszybszej podróży, musi być uwzględnione, bo każdy unika tak zwanych „bummelzugów" i z czasem wszędzie pośredniczyć będą w jeździe pociągi pospieszne lub błyskawiczne, których co rok jest więcej.

Im większe wymagania technikom się czyni, tem więcej oni niespodziewanie w pomysłach swych idą naprzód. Można więc z naprężoną ciekawością oczekiwać dalszego rozwoju ruchu komunikacyjnego, a niezawodnie przejdzie on niespodzianki, o których najbujniejsza fantazya jeszcze dzisiaj nie może mieć wyobrażenia.

---

## ROZMAITOŚCI.

**Pieśni wojskowe.** Otrzymujemy następujące pismo z prośbą o ogłoszenie. Ministerstwo wojny upoważniło mię, dekretem z dnia 11 grudnia 1898 do poszukiwania i zbierania pieśni wojskowych wszystkich narodowości monarchii austryackiej, w celu zbiorowego ich wydania. Podejmując się tego dzieła, zwracam się przedewszystkiem z prośbą do starszych panów rezerwistów i wysłużonych żołnierzy, którym używane w wojsku pieśni utkwiły w pamięci, o łaskawe najrychlejsze nadesłanie mi zupełnego, ile możności tekstu tychże w tej formie, w jakiej je kiedyś śpiewano, lub obecnie jeszcze spiewa. Również proszę o łaskawe podanie mi nazwisk i adresów osób, którymby pieśni wojskowe znane były. W sprawie melodyi, podanych mi pieśni, pozwolę sobie porozumieć się z dotyczącymi panami listownie lub osobiście. Pieśni wojskowe są prawdziwym skarbem poezyi i muzyki ludowej, a byłoby rzeczą ubolewania godną, gdyby pieśń ta, opiewająca rzewnemi nieraz słowy pożegnanie domu rodzinnego, tęsknotę za nim, miłość na obczyźnie, grozę wojny i bohaterstwo wodzów, miała pójść w zapomnienie. Każda, najdrobniejsza nawet na pozór wiadomość lub informacya znakomicie przyczynić się może do całości dzieła; to też nie omieszkam w swoim czasie wymienić z wdzięcznością nazwiska tych, którzy w czemkolwiek pomocnymi mi byli. Proszę uprzejmie wszystkie pisma polskie o łaskawe powtórzenie niniejszej odezwy i poparcia tym sposobem sprawy, kreślę się z wysokiem poważaniem V. V. Hausmann, dyrektor muzyki w Bielsku, Sląsk austryacki.

**Sejm finlandzki.** We wspaniałych salach i korytarzach „Domu stanów" w Helsingforsie, gdzie ma swą siedzibę sejm finlandzki, panuje ogromne ożywienie. Człowiekowi, mało obeznanemu ze stosunkami miejscowemi, nie łatwo rozróżnić posłów szwedzkiego pochodzenia od posłów pochodzenia fińskiego, gdyż obydwa te szczepy przez wiekowe, wspólne pożycie na tejsamej ziemi, zatraciły dużo ze swych cech charakterystycznych. Za przedstawicielami „mieszczaństwa", „duchowieństwa" i „chłopów" wchodzimy do gmachu, gdzie te stany obradują. Stan czwarty — „szlachta" naradza się osobno. Pośrodku monumentalnych schodów zwraca uwagę przepyszna figura „Finlandyi", obok której lew, przypominający lwa weneckiego, trzyma tablicę z napisem: *Lex*. Przed rozpoczęciem posiedzenia posłowie spotykają się na gruncie neutralnym: w bufecie. Tam najłatwiej można się przekonać, jak prędko znikają różnice między Szwedami a Finami wówczas, gdy rozchodzi się o obronę niezależności kraju. W sejmie przez dziesiątki lat walczą oni ze sobą o przyznanie pierwszeństwa językowi fińskiemu lub szwedzkiemu, jednak niebezpieczeństwo wspólne, pod postacią ciągle grożącej im Rosyi, jednoczy ich zawsze, a tembardziej teraz, gdy car rzeczywiście dokonał zamachu na autonomię Finlandyi. Sejm finlandzki liczy razem 294 członków, obecnie zaś składa się na tę liczbę 158 Szwedów i 136 Finów. Posłowie ci podzieleni są, jak już wspomnieliśmy, na cztery stany, z których każdy obraduje osobno. Przewodniczącego w każdym stanie z osobna mianuje car jako wielki książę finlandzki.

Wchodnimy na galeryę sali, w której obradują „mieszczanie". Mowy wygłaszane są w obu językach, fińskim i szwedzkim. Tutaj nie ma obowiązku tłómaczenia ich, tylko w sali „chłopskiej" każda mowa musi być przełożoną z języka szwedzkiego na fiński i odwrotnie.

Zaraz po skończonem przemówieniu przewodniczącego z wieku, boczne drzwi sali otwierają się, a w nich ukazuje się „mistrz ceremonii" Sejmu we wspaniałym, złotemi haftami pokrytym uniformie. Przynosi on ze sobą rozporządzenie generał-gubernatora, odnoszące się do posłuchania, jakiego ma udzielić przedstawicielom stanów. Posłowie powstają i w grobowem milczeniu słuchają tego rozporządzenia. Mistrz ceremonii ob chodzi, „mieszczanie" przystępują do porządku dziennego.

Przeważna ich część ubrana jest we fraki, w sali zaś „duchowieństwa" panuje długi czarny surdut, w jaki się zwykle ubierają pastorzy U chłopów rozmaitość kostyumów jest niemała: są i stroje narodowe i zwykłe surduty a nawet fraki, które nakładają zwykle na siebie właściciele większej posiadłości, nie posiadający tytułu szlacheckiego, a tem samem należący do „chłopów".

W tak zwanym „Domu rycerskim" obraduje osobno stan czwarty: „szlachta finlandzka", sami Szwedzi, z których przeważna większość odbywa służbę wojskową i cywilną w Rosyi. Za swą wierną służbę carom rosyjskim, zagrożoną ona została tem samem, co i inne stany niebezpieczeństwem: utratą wszelkich przywilejów i odrębności narodowej, z których tak była dumną. Finlanczycy czują dobrze, że obecna sesya ich sejmu, jeśli nie jest ostatnią, to przynajmniej jedną z ostatnich, gdyż albo muszą własnoręcznie pogrzebać swą autonomię, albo też, gdy oprą się rozkazom z Petersburga, to kozacy „zrobią porządek" w małej, biednej, lecz kochającej swą niezależność Finlandyi!

**Przepowiednie „jasnowidzącej".** Wyznawcy „jasnowidzeń" tryumfują. Znana w Paryżu „okultystka", pani de Thébes, na początku bieżącego roku, zapytywana o przyszłość przez redaktora *Gaulois*, przepowiedziała, że w pierwszych miesiącach roku jeden z największych dostojników państwowych umrze nagłą śmiercią. Rano, w dzień zgonu Faure'a, na kilka godzin przed jego śmiercią, na wizycie u znajomych pani de Thebes zapowiedziała, że nastąpi katastrofa, która całą Francyą wstrząśnie. Nowemu prezydentowi rokuje ona także śmierć nagłą, lecz terminu jej nie określa, twierdząc tylko, że Loubet umrze na stanowisku głowy państwa w pałacu Elizejskim. Rok bieżący, wedle jej przepowiedni, zaznaczy się gwałtownemi wstrząśnieniami, wypadkami tragicznemi, które jednak posłużą moralnemu i materyalnemu dobru Francyi.

**Zmarnowany wykład historyi.** (Rzecz dzieje się w pierwszorzędnej restauracyi).

Gość pedant. Garson! proszę cię, przeczytaj, co to za potrawa.

Garson (biorąc menu do ręki). Ko... kotlety a la mętną.

Gość pedant. Czy ty wiesz, kto była p. Maintenon?

Garson (spoglądając z roztargnieniem na wchodzące do sali wesołe towarzystwo). Tego ja nie wiem, proszę pana, czy ona tu kiedy była.

Gość pedant. Pani de Maintenon, zanim Ludwik XIV poślubił ją potajemnie, ukazywała się z nim publicznie, czem nieraz gorszył się cały Paryż...

Garson (mocno zniecierpliwiony). A może panu dać dla niej osobny gabinet?

**Z postu.** Hołdując modnym dziś kierunkom, szczepionym przez najtęższe głowy — tytułem próby — skreślić pragnę wdzięczny obrazek... nastrojowy!

Cztery pokoje w anfiladzie — w mieszkaniu znać kobiecą rękę — mebelki kryte, nawet lampa z wiotkiej bibułki ma sukienkę. Wieczór — więc lampę zapalono... Przy stole papa siadł ponury — milczy.. z pod oka spoglądając na wzdychające smutnie córy... Przysiadły wiankiem na kanapie — przed nimi kanwa czy koronka — w paluszkach każdej tkwi szydełko — ale paluszki bez... pierścionka! Lampa się pali... Milczy papa, córki nie mówią ani słowa — w czterech pokojach w anfiladzie panuje cisza nastrojowa!

Nie mąćmy ciszy tej! niech płynie nad lampą, ojcem i córami, — zwłaszcza, że w poście nie uchodzi wprowadzać kogo z „zamiarami!"

**Pierwszą nagrodę** za najpiękniejszy i najkosztowniej dekorowany pojazd w ostatnim pochodzie karnawału w Nizzy, — otrzymał Polak — ks. Lubomirski z Królestwa. Pojawił się on w ostatni dzień karnawału na corso nicejskiem w rosyjskich ognistą trójką zaprzężonych saniach z brodatym zwoszczykiem na kozie i czarnooką, w czerkieski strój ubraną „towarzyszką" u boku. Sanie toczyły się na niewidocznych pod girlandami kwiecia kółkach, tworząc istne arcydzieło smaku i pańskiej fantazyi.

---

**Na kościółek** w Słobódce dżuryńskiej zebrano dotychczas 2886 zł. 25 cnt., z której to kwoty już kilkaset zł wydano na wapno, piasek i kamień. Ks. Ignacy Rakszyński, ekspozyt w Słobódce dżuryńskiej (poczta Dżuryn) pisze: Dziękując jak najgoręcej za złożone dotychczas ofiary, upraszam i nadal o łaskawą pomoc; gdyż nie mam innego sposobu do zebrania funduszów na postawienie tego kościółka. A trudności i przeszkody coraz to nowe się mnożą; niechęć i obojętność ludu, dla którego dobra pracuję, staje w poprzek wszystkim moim najlepszym zamiarom i prawdziwie ciężkie próby przechodzi zamierzone dzieło. Lecz w połowie stanąć nie wolno, powtarzam sobie po raz setny i krzepię się nadzieją, że na Rusi stanie jeden kościółek więcej, w którym nasz polski ludek choć zruszczony, po polsku modlić się, w polskiej mowie nauk zbawiennych słuchać, po polsku na chwałę Panu śpiewać będzie. O tem często marzę i wierzę, że za Bożą wolą i pomocą braci rodaków tego dzieła dokonam. Chęci i słabe siły moje tej sprawie poświęcam, gdyż ponadto nic więcej nie posiadam, a tych którym Pan Bóg więcej dał, proszę o grosz wdowi dla maluczkiej biednej braci.

---

## Z literatury.

* **Koncert tow. muzycznego** urządzony w piątek wieczorem w sali Domu Narodnego zaliczyć musimy do najudatniejszych w tym sezonie. Zaciekawił on słuchaczy i umiejętnie zestawionym programem i współudziałem znanej już we Lwowie zaszczytnie amatorki p. Maryi Langie. Uderzyła nas przedewszystkiem niezwykła staranność w przygotowaniu numerów orkiestralnych, znakomite wycieniowanie w najdrobniejszych szczegółach, doskonałe zespolenie całości: zasługa w tem w pierwszej linii dzielnego dyrygenta p. dyrektora Schwarza to też utwory odegrane przez orkiestrę: Mozarta Uwentura do opery Belmont é Constance i Wagnera Waldweben oddano w najwyższym stopniu correct.

Nasz dobry znajomy skrzypek prof.

Wolfsthal tylekroć przez nas oklaskiwany darzony był słusznie gorącym aplauzem: należał się mu on sumiennie, z taką finezyą i elegancyą oddał przepiękną Fantazyę szkocką Brucha.

Punktem kulminacyjnym był śpiew solowy p. Maryi Langie, dała się ona poznać już przed kilku miesiącami szerszej publiczności w koncercie dobroczynnym w teatrze. Już wówczas podnosiliśmy piękny dźwięk jej głosu, muzykalność, czystość intonacyi i wykwintny smak; wszystkie te zalety i w onegdajszym koncercie wystąpiły w całej pełni. Odśpiewała przepięknie Glucka Recitativ i aryę z Antigono, oraz dwie pieśni Griega Monte Pincio i Łabędź, z których ostatnią gorącymi oklaskami zniewolona powtórzyć musiała.

*Dr. Eug. B.*

**Repertoar teatralny.**

W niedzielę popoł. o ½4 „Małka Schwarzenkopf" sztuka w 5 aktach ze śpiewami Gabryeli Zapolskiej.

W niedzielę wieczorem o ½8 po raz pierwszy w tym sezonie „Hugonoci" wielka opera w 4 aktach Mayerbera. Występ Teresy Arklowej, Aleksandra Myszugi, Juliana Jeromina i Józefa Szymańskiego.

W poniedziałek po raz 6-ty „Kontrolor wagonów sypialnych", komedya w 5 aktach Al. Bissona.

Następną nowością będzie „Mąż dwóch żon" 3 aktowa kom. Gaudillotta i „Pamela" słynna sztuka Wiktora Sardou.

**Kalendarz.**

W niedzielę 5 marca Federyka opata — Tymofteja.

## Dział ekonomiczny.

— **Konferencya rolnicza.** W piątek o godz. 5 po poł. odbyła się w kasynie ziemiańskiem konferencya rolnicza na temat, jakim sposobem podnosić należy i można dochody z hodowli bydła rogatego. W tej kwestyi pierwszy zabrał głos imieniem komitetu gospodarczego p. Langie, zagajając jako przewodniczący obrady, poczem udzielił głosu prof. Mieczysławowi Pańkowskiemu. Ten przedewszystkiem wskazał różnicę, jaka zachodzi w żywieniu bydła górskiego a nizinnego; podał sposoby uchronienia bydła od gruźlicy, w końcu pouczał, jak je najracyonalniej żywić należy. Po nim przemawiał p. Turnau, który wbrew twierdzeniu przedmowcy oświadczył się przeciw metodzie całorocznego żywienia bydła w stajni. Za metodą oświadczył się p. Kazim. Pańkowski, uzasadniając ją szeregiem nie dających się zaprzeczyć przykładów.

W dalszym ciągu dyskusyi zabierali głos, interpelując referenta, pp. Wiesiołowski, ks. Czartoryski, dyr. Frommel, Dembiński, prof. Kubicki, Ostaszewski i znowu kilkakrotnie p. Turnau. Mowcy oświadczali się co do powyższej kwestyi pro i contra. Wiele zajmujących szczegółów co do szczepienia gruźlicy u bydła, podniósł weter. jarosławski p. Kwieciński. Na wszystkie poruszone kwestye odpowiedział wyczerpująco referent prof. Miecz. Pańkowski.

W końcu uchwalono na wniosek komitetu, zwoływać podobne konferencye od czasu do czasu, a to celem przedyskutowania pewnych wprzód wytyczonych kwestyj. Posiedzenie skończyło się o godzinie 8 wieczorem.

— **Gal. tow. producentów tytoniu.** W piątek o godzinie 3 po południu odbyło „tow. gal. producentów tytoniu w Sniatynie" swe posiedzenie w sali lwowskiego kasyna ziemiańskiego, na którem poruszono parę kwestyj ogromnej doniosłości. Obrady zagaił p. Krzysztofowicz, który też przewodniczył zgromadzeniu. Wykazał on, iż towarzystwo przy skromnych subwencyach, jakie otrzymuje od kraju i rządu, zdołało bardzo dodatni wpływ wywrzeć na kulturę tytoniu u nas. Jak ważną jest ta kultura, dość wspomnieć, iż kiedy w roku 1889 Galicya zdołała wyprodukować tytoniu tylko za pół miljona złr., wartości przeciętnej 15 złr. za 100 kg., to przy działalności towarzystwa przez instruktorów rozsyłanych po wsiach, ta sama Galicya dziś po 10 latach produkuje za cały milion złr. tytoniu, którego wartość przeciętna za 100 kg. podniosła się do 20 złr.

Potem przemawiał p. Moysa. Ten mówił o sposobach rozwoju towarzystwa, a zwłaszcza o stosunku jego do rządu. Rząd do niedawna zachowywał się wobec towarzystwa nader nieprzychylnie. Obecnie ta nieprzychylność powoli zaczyna ustępować, wobec tego, że kiedy w materyale zużywanym przez fabryki tytoniu rządowe, Galicya zajmowała 9 procent w roku 1889, to dziś ta ilość wzrosła do 25 procent. Z kolei przemawiał profesor Szyszyłowicz o próbach i doświadczeniach nad racyonalną uprawą tytoniu, które towarzystwo podejmuje. W zakończeniu zabrał głos p. Włodzimierz Gniewosz, wyrażając uznanie i podziękowanie towarzystwu za intenzywną działalność i zapewniając, iż energiczna jego praca, obfitująca w tyle dodatnich rezultatów, znajdzie z pewnością jeszcze większe materyalne poparcie ze strony kraju.